



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Zakłady Opiekuńczo-Wychowawcze "Ebenezer" w Dzięgielowie pod Cieszynem.

Liczba stron oryginału

40

Liczba plików skanów

40

Liczba plików publikacji

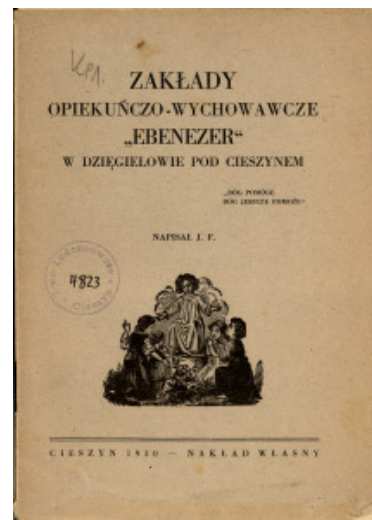
41

Sygatura/numer zespołu **TL I 04823**

Data wydania oryginału **1930**

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



Fundusze Europejskie
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



Kp1.

ZAKŁADY OPIEKUŃCZO-WYCHOWAWCZE „EBENEZER“ W DZIĘGIELOWIE POD CIESZYNEM

„BÓG POMÓŻ
BÓG JESZCZE POMÓŻE“

NAPISAŁ J. F.



CIESZYN 1930 — NAKŁAD WŁASNY

266:284(438) 5L

Drukiem Pawła Mitreği w Cieszynie.

Dzięgielów, jeszcze przed 10-ciu laty jedna tylko ze stu wiosek Śląska Cieszyńskiego, nie odznaczająca się niczem szczególnem, nabiera z każdym miesiącem coraz pełniejszego brzmienia. Stała się nazwa ta hasłem i pobudką, niecącą z jednej strony zapal, podziw, chęć współpracy, a z drugiej niechęć, podejrzenia, a nieraz nienawiść. Jest dziś Dzięgielów symbolem, wyrazem nowego ruchu społeczno-religijnego, nowego poczynania w czasach powojennych. Wzrosło tam coś, co na tle dzisiejszych czasów materjalizmu, sobkostwa, cenienia jedynie tylko pieniądza jako rzeczywistości przy lekceważeniu spraw ducha — wygląda na złudę, wizję. Wyrosło w Dzięgielowie dzieło miłosierdzia, którego podstawą była wiara i ofiara, zdanie się w zupełności na Opatrzność, częstokroć bez liczenia się z tak zwanymi realnymi faktami.

Stały Zakłady „Ebenezer“ na wzgórzu, na „Kępie“, w „Owczarni“, folwarku, należącym przed przewrotem 1918 r. do kompleksu dóbr byłego arcyksięcia Fryderyka Habsburga, wśród nieużytków i mokradel, w ośrodku, którego w czasie przejęcia dóbr arcyksięcia pod Przymusowy Zarząd przez Państwo Polskie i wydzierżawienia ziemi przez miejscową ludność — nikt inny przyjąć nie chciał! Z tych szop, z wałących się dachów, z nędznych, w ziemię zapadłych, przeżartych wilgocią murów, wyrosły gmachy kosztem przeszło miliona złotych. Setki sierot i podrzutków, starców zniedołę-

niałych, przeróżnych wykolejeńców życiowych i ofiar wojny — znalazły tam przytułek, kilkaset bezrobotnych w czasach już po wojnie światowej i wojnie domowej, jaką był plebiscyt śląski, znalazło tam pracę i, co więcej, nowe oparcie moralne, podstawę, która im dała nową otuchę i wiarę w życie, jego celowość, a nawet jego — piękno.

Opiekę i nadzór nad tą grupą nieszczęśliwych stanowi również coś nowego, coś, co istnieje dopiero od lat 8-miu — Diakonat — zrzeszenie Sióstr, cór ludu śląskiego, najczęściej kobiet prostych, niewykształconych, ale takich, które za jedyne zadanie swoje widzą położenie swego życia na ofiarę drugim.

Niewiarygodne to dzieło, zwłaszcza, że nie było jakiegoś wielkiego fundatora, któryby od jednego razu sypnął milionowemi sumami, że nie było Komitetu, któryby zgóry wytyczył granice i formy dzieła, przewidział do najdrobniejszych szczegółów ostateczne jego cele, że nie było człowieka, któryby jasno naprzód wiedział, do czego zmierza, czego chce, któryby miał poza sobą jakieś wzory. Dzieło to, Zakłady Dziegielowskie, z całą stanowczością należy to stwierdzić, są dziełem natchnienia, dziełem Bożem, które tam wyrasta najniespodziewaniej nieraz, a nawet najczęściej, gdzie według obliczeń ludzkich żadnych niema widoków rozwoju, wyrasta w myśl zasady spiritus flat, ubi vult (duch wieje tam, gdzie chce).

*

*

*

Były to czasy powojenne! Straszliwa czteroletnia wojna światowa wyniszczyła ludzkość nie tylko materialnie, ale przede wszystkim moralnie. Zatrzęsły się w podstawach nie tylko państwa i trony, zdawało się niewzruszone, ale co gorsza, więźba moralna, obyczaj-

ność, ugruntowana, jak przypuszczano, niezłomnie w sercach społeczeństw, wyrosła w ciągu dwóch tysiącleci z opoki chrześcijaństwa. Nędza i brudy materialne i moralne zatriumfowały. Zepsucie szerzyło się z nieprawdopodobną łatwością, a drażyło także wgłąb. Pograżona w marazmie straszliwych przeżyć wojennych i powojennych Europa zatraciła poczucie swego posłannictwa, zatraciła wiarę w siebie, w kulturę dwutysiącletnią, zwłaszcza że pokonane Niemcy w szale rozpacz po przegranej wojnie jawnie poczęły samobójczo podważać podstawy europejskości, a to znaczy chrystjanizmu, mówić o „zmierzchu Zachodu“, a co gorsza czynnie przykładać żagiew do dynamitu niezadowolenia, nihilizmu, jaki nagromadził się już od wieków w ciemnionej Rosji. Bolszewizm, to może nie wprost dzieło Niemców, ale jego rozwój w każdym razie wiele Berlinowi zawdzięcza. Komunizm, czerwone widmo zagłady wszystkiego, co każdemu wychowanemu na tradycjach chrześcijaństwa Europejczykowi jest święte, ubrana w czerwoną czapkę rewolucji Azja, stanęła u rubieży Europy i poczęła dobijać się do wnętrza. Hasło przewrotu, zburzenia całego porządku społecznego, poczęło niestety w pierwszych latach po wojnie przemawiać do mas, a jutro malowało się, jak nigdy jeszcze od kilku wieków, niepewnie.

Straż u wschodnich granic Europy zajęła w tych warunkach Polska. Wzbudzony do życia w znaczeniu państwowem po 150-ciu latach niebytu naród stanął odrazu oko w oko z najstraszliwszym wrogiem, jaki cywilizacji europejskiej zagrażał od lat 700. Sama targana głodem, przeorana wzdłuż i wszerz okopami trzech armij, pozbawiona dosłownie dachu nad głową, bez granic, bez wojska i uzbrojenia, stanęła Polska znowu na swym posterunku przedmurza chrześcijaństwa. Wszystkie jej siły zogniskowały się właśnie na

tej obronie jej bytu, który stał się równoznaczny z bytem całego Zachodu. Cóż było źródłem tej siły? Był patriotyzm, ale on nie wystarczyłby w tych czasach rozkładu. Trzeba było odwołać się do źródeł głębszych. I odwołano się do — religji. Raz już apel taki, zapal apostolski, krzyżowy, uratował Europę na polach lignickich; z okrzykiem: bij, kto w Boga wierzy — gromiły zastępy Polaków przez lat czterysta Półksiężyc. Reformacja polska XVI wieku umożliwiła bezpieczeństwo rozwoju niemieckiej, ocaliła rozbitki husytów. Wielka poezja trójcy wieszczów, przepojona duchem czystej ewangelji — uczyniła inteligencję polską ewangeliczną z ducha, choć rzymską z formy. Na tych przesłankach, na tych fundamentach żywej tradycji polskiej rozpoczęła się też wielka i skuteczna praca kościołów w Polsce. Zaczęto ją od podstaw, od misji wewnętrznej. Jeżeli Polska miała być nadal przedmurzem chrześcijaństwa, jeżeli miała uratować nie tylko siebie, ale całą cywilizację europejską od zagłady, jaką jej zagroził przewrót komunistyczny, natenczas musiała być potężna ideą, tą zaś ideą mogła być tylko wiara w Boga, miłość tego, co nieśmiertelne, wieczne, działalność w myśl przykazań Jezusa z Nazaretu. — I Chrystus zwycięża.

Na Śląsku Cieszyńskim wyrazem tej roboty, w odmiennie ewangelickiej misji wewnętrznej, są właśnie Zakłady Dzięgielowskie. Są one przede wszystkim — jak pisze twórca ich, Ksiądz Senjor Karol Kulisz, pastor z Cieszyna — „próbą wiary, czy Kościół w tym przełomowym czasie potrafi przez swoje organy pójść drogą prostej ufności w Boga, bez oglądania się na jakiekolwiek widoczne podpory, spełniając zarazem w tej ufności służbę samarytanizmu, jakiej te czasy od kościoła wymagają.“

„Zakłady te są“ — pisze Ksiądz Senjor Kulisz na innem miejscu — „gospodarstwem, na którym

pracujemy w drodze dobrowolnej, a nawet zniewalamy — i to tylko środkami duchowymi — indywidua pasorzytne i rozwiązałe do zarabiania pod kierownictwem Siostr na chleb nietylko dla siebie, ale i dla tej gromady niedołęgów i dzieci, które jeszcze pracować, albo już pracować nie mogą. Są one obrazem gospodarki, w której z największym ryzykiem i z wielkim ciężarem odpowiedzialności równocześnie użyżniono pola, nabyto żywy i martwy inwentarz i pobudowano domy“, gdzie „nikt zosobna nie może niczego nazwać swoją własnością, wszyscy pracują dla wszystkich, ale najwięcej ci, którzy rządzą. Instytucja ta dla nas samych (dla księdza Senj. Kulisza i współpracowników), którzy ją tworzymy, jest dziwnym objawem rozwoju budowy, która pochłania dziesiątki tysięcy i krocie, a to nie z jakichś gotowych lub zapewnionych zasobów, albo z nadzwyczajnych subwencji, ale w sposób, gdzie z największym drżeniem robi się każdy wydatek, gdzie walczyć trzeba ciężko prawie że o każdą deskę i o każdą paczkę gwoździ“.

„Są te Zakłady dowodem dla tych, którzy za nie są odpowiedzialni, że gdzieś w głębi ludzkiego działania i pobudek w sprawie rozrastającej się jest jakaś istota, która o wszystkim wie, wszystko może, ale nigdy nie działa jawnie, zawsze skrycie — nie według obliczenia, ale niespodzianie — która wszystko dopuszcza, ale nigdy nie opuszcza, która zażądać może od człowieka wszystkiego, nie tłumacząc się z niczego.

Nad pracą tą unosi się westchnienie „Ebenezer“: „Bóg pomógł, Bóg dalej pomoże“.

*

*

*

Dzieło, jakie powstało na „Kępie“, owo „Ebenezer“, Zakłady Opiekuńczo-Wychowawcze w Dziegielowie pod Cieszynem, to wyraz sił boskich, twór, który wy-

rósł jakoby naprzekór światu, który jest jakoby zaprzeczeniem rzeczywistości powojennej, nacechowanej najgrubszym materializmem i egoizmem jednostkowym i zbiorowym. „Bóg to sprawił“ — pisze Ks. Kulisz w jednym ze swych memoriałów — „że to dzieło powstało niejako jako miasto na górze leżące, które widoczne jest wszystkim. Może stało się to dlatego, że Bóg chętnie widzi, gdy rośnie to, co jest niczem wobec wielkości tego świata“.

Nie może jednak dzieło Boże powstać bez narzędzia. Narzędziem tem jest wspomniany już w cytatach powyższych Ks. Senjor Kulisz. Syn ludu śląskiego, syn robotnika z Dziegielowa, nieraz sam jako chłopiec pracował na „Kępie“ w warunkach niemal że pańszczyźnianych, bo wzamian za dzierżawę pastwisk trzeba było obrabiać grunta pańskie, folwarczne niemal zadarmo — (wynagrodzenie za dzień pracy wynosiło 14 groszy austriackich). Od młodości oglądał przyszły zwierzchnik kościoła cieszyńskiego upodlenie i wynarodowienie, jakie szerzyły się na folwarkach arcyksięcia wśród ludu, nieraz też zastanawiał się nad tem, jakaby powinna być ekspiacja za owo długoletnie zło. Jako wikarjusz, a potem proboszcz Zboru w Ligołce Kameralnej (dziś w części Śląska) zetknął się znowu wręcz z nędzą ludzką. Niezdolny do kompromisów, nędzarza nie zbywał jałmużną. To też nieszczęścia cudze, straszny los dzieci porzuconych, upadłych, opilców, chorych, starców opuszczonych, zdanych na łaskę boską po strychach, czy stajniach wiejskich, — nieszczęścia cudze opłatały go i wciągnęły rychło już w swoje grzęzawisko.

Wynajął kilka pokoi w starej chałupie w Ligołce i tam pomieścił nędzarzy, potem nabył ową chatę, zwerbował Siostrę miłosierdzia i tak powstała „Betezda“, ligocki dom opieki, utrzymywany obecnie przez Ewang. Stowarzyszenie Niewiast. W r. 1920, kiedy objął kie-

rownictwo zboru w Cieszynie, a następnie stał się senjorem polskiego Kościoła ewangelickiego w Cieszyńskim, zetknął się ponownie z większą jeszcze falą nieszczęścia ludzkiego. Do fary na Placu kościelnym w Cieszynie zaglądać znowu zaczęła nędza w wszelkich postaciach. Przewijać się zaczęli przed jego oczyma to młodzi ludzie, pozbawieni jakiejkolwiek możności zarobkowania, to młode matki bez dachu nad głową, bez możności wyżywienia swoich schorowanych zazwyczaj dzieci, to rozbitki życiowe, starcy z warstw inteligenckich, pozbawieni na starość kęsa suchego chleba. Ksiądz Senjor Kulisz nie zadowolił się dawaniem jałmużny, — poczuł się odpowiedzialnym za los tych ludzi, ich ciężar wziął na siebie, i chociaż bez grosza (były to przecież czasy inflacyjne i nikt w Polsce wówczas żadnych oszczędności nie miał), począł zabiegać o utworzenie nowego schroniska w rodzaju tego z Ligotki dla swojej biedoty.

*

*

*

„Zakłady Dziegielowskie“ — pisze Ksiądz Kulisz w broszurce z 1926 r.¹ — „są tworem onych bezprzykładnie ciężkich, zdradliwych, dziwnych lat, jakimi były czasy powojenne, plebiscytowe, czasy stanowienia granic między Polską i Czechosłowacją oraz między Polską i Niemcami, następnie okres załamania się życia gospodarczego i zarobkowego. Gdy wtedy zostałem pastorem zboru, jakim jest zbor cieszyński i senjorem Senjoratu cieszyńskiego i gdy na tem stanowisku ocierać się o mnie zaczęły istoty bezdomne, do gruntu zachwiane w materialnym i moralnym bycie, istoty oglądające się za oparciem, do tego opuszczone dzieci, potrzebujące wychowania, wtedy w owych nędznych i kapryśnych warunkach gospodarczych i politycznych prosiłem Boga o azyl, gdziebym jakie takie oparcie mógł dać tym, którzy zna-

leżli się bez wszelkiego oparcia, i gdzieby najmniejsze dzieci ochronić można przed grożącym im na każdym kroku fizycznym i moralnym zwyrodnieniem. Wtedy to właśnie wielkie dobra Komory cieszyńskiej, należące niegdyś do książąt cieszyńskich, Piastów, a potem do arcyksiążąt austriackich, Habsburgów, przejęte zostały przez Państwo Polskie.“

Opisano już wyżej, jak to Ks. Senior Kulisz wydzierżawił „Kępe“, ziemię zaniedbaną, trudną do uprawy, mokrą, której inni nie chcieli, — wydzierżawił, nie rozporządzając niczem, — jak uczynił ten krok w ciemną zupełnie przyszłość, nie mając — jak pisze gdzieś — „nogi na czym postawić, chyba na wierze“. Wydzierżawiwszy 80 morgów mokradeł, umieściwszy w norze, jaką była „Owczarnia“, przejściowo kilkunastu pierwszych starców i kilka niemowląt, pchany był odtąd ustawicznie przez konieczność do kroczenia naprzód w — niewiadome. Ponieważ warunkiem wydzierżawienia ośrodka („Kępy“) było uprawianie ziemi, musiał odtąd on, pastor, mający pod swą opieką olbrzymi zbór (16 tysięcy dusz), troszczyć się o jego uprawę, o meljorację, musiał nabywać za pożyczone, a nieraz wręcz wyżebrane pieniądze inwentarz żywy i martwy. Folwark bowiem ogołocony był dosłownie ze wszystkiego tak, że nawet kawałek łańcucha nie było (nawet żłoby zniknęły podczas przewrotu). Musiał więc budować barak na pomieszczenie ludzi, zajętych na roli, a to wśród nieprawdopodobnych kłopotów, bieganiny, a nieraz nawet i żebraniny o materiały, a przede wszystkim o pieniądze, topniejące mu w ręku w potopie inflacyjnym, zwłaszcza subwencje, przyznawane mu później z Województwa, które stale otrzymywał docna zdevaluowane. Począł tworzyć swoją owczarnię z niczego, swój azyl, wyproszony od Boga, swe zakłady dobroczynno-wychowawcze! Ile się nalykał upokorzeń, jak musiał walczyć z samym

sobą, z buntującą się — jakże naturalną! — dumą własną — by chwytać za klamkę tego lub innego dobrodzieja, od którego pożyczki zależał niejednokrotnie post lub obiad niemowląt, starców, a przede wszystkim robotników zajętych na roli — o tem wie tylko on jeden, on i Bóg. Coraz częściej na szczęście i szerzej zaczyna się „Kępa“ również interesować ogół, początkowo jeśli nie niechętny, to obojętny, niezorientowany, gdyż dotąd społeczeństwo polsko-ewangelickie misją wewnętrzną nie zajmowało się, zmuszone walczyć w poprzednich wiekach XVII, XVIII poprostu o samo swe istnienie, a w wieku XIX o utrwalenie materialne zdobytych poprzednio praw. Nareszcie społeczeństwo to polsko-ewangelickie, a nawet władze państwowe, poczynają Zakłady, nieprawdopodobny wysiłek jednostki, uważać za swoje.

Kościół ewangelicki w Cieszyńskim.

Sprawy miłosierdzia.

Charakterystyczne trudności.

Lud śląski zawsze miał byt ciężki, — uciskany pańszczyzną walczył o kęs chleba; potem o swój byt narodowy, o utrzymanie swojego języka, a od szesnastego wieku również swej religji. Uzyskawszy wreszcie w dziewiętnastym wieku pełnię praw, — zasklepił się w sobie, zapragnął spocząć na zdobytych prawach i korzystać z nich przedewszystkiem materjalnie. Niezamożny, składający się przeważnie z warstwy chłopskiej, a w ostatnich kilkudziesięciu latach także robotniczej, lgnął do zysków i tracił ducha poświęceń za miskę soczewicy, — i co za tem idzie ręka w rękę: nie rozwinął zmysłu dla spraw łaski Bożej i samarytanizmu. Życie religijne kostniało i ograniczało się w ostatnich czasach do wykonywania form życia kościelnego. Opuszczono pierwszą miłość i zaczynało brakować owocu, którym wiara przed Bogiem i ludźmi wykazać się musi.

Ale niewiara nowoczesna, zewsząd się sącząca, hała socjalistyczne, zdobywające sobie coraz większe masy, nareszcie wojna światowa i jej wstrząsy pokruszyły pobożność zwyczajową. Potężne zaś porywy wolnościowe w latach 1918 i 1919 zmusiły objąć spojrzeniem szersze horyzonty i pomyśleć o większych całościach niż dom rodzinny, gmina, zbór.

Wśród stosunków społecznych, powojennych wiara chrześcijańska nie może istnieć w postaci skostniałej kościelności, zwyczajowej pobożności. Chcąc istnieć, musi zdobyć się na czyny społeczne, — lepiej powiedzieć: — na wielki czyn społeczny. **Chrystjanizm dziś bardziej niż kiedykolwiek może legitymować się tylko miłością, miłosierdziem.** Takim był w swoich początkach, tak się też rozwinie w końcowych czasach, w których tyranja z jednej, a bandytyzm z drugiej strony święcić będą triumfy w przeciwieństwie do prawdziwej wolności i miłości chrześcijańskiej. Im większą będzie w końcowych czasach zniewaga człowieka w upadku jego i w tyranji nad nim, im wyraźniej będzie się pełniło proroctwo Jezusowe, że „gdzie jest ścierwo, tam się zgromadzą orły“, tem prościej będzie chrystjanizm legitymował się w prostych czynach miłosierdzia: „Byłem głodnym, a daliście mi jeść, pragnąłem, a daliście mi pić, byłem nagi, a przyodzialiście mię, byłem przychodniem, a przyjęliście mię, byłem chorym i byłem w więzieniu, a przychodziliście do mnie“ — słowa Jezusowe w Ewang. św. Mateusza 25. — Prawda chrześcijańska — zwłaszcza w najfatalniejszych czasach świata — objawia się w uczynkach miłosierdzia. Ich fundamentalne i nieśmiertelne znaczenie jest w tem, że **poważają w człowieku człowieka**, nawet w nagim, nawet w zubożałym i schorzałym, nawet w niemowlęciu i w podrzutku, nawet w grzeszniku, — i że **ratują w człowieku człowieka.**

W tym kierunku tylko pójść może i pójść musi w dobie obecnej kościół ewangelicki w Cieszyńskim. Jeżeli ten kościół jest rzeczywiście tem, czem zawsze się czuł: solą i światłem, to charakterystycznym znamięm jego w naszych czasach będzie czyn społeczny. W samym tym kościele w tych czasach powojennych, w czasach społecznego niedostatku, w czasach bezrobo-

cia, wyrósć musiało zupełnie naturalnym sposobem zadanie społeczne, — a zadanie to samo przez się wychowa zbory dla siebie. Idą dni — i owszem już przyszły, gdy mowa Jezusowa o sędzie ostatecznym: „Byłem głodny, a nakarmiliście mię, ... nagi, a przyodzialiście mię, ... przychodniem, a przyjęliście mię“ ... będzie nagłącą i znajdzie swoje charakterystyczne pole pracy. — Jeżeli bowiem w samych rządach państw po wojnie powstały wydziały dla pracy i opieki społecznej, jakich przed wojną nie było, — jakimże to upomnieniem jest dla Kościoła!

To też taka instytucja, jaką są dziegielowskie Zakłady opiekuńczo-wychowawcze, pojętą być może nie tylko jako wysilek ich założyciela, ale jako naturalny wymóg naszych czasów, wynikający z społecznego zadania kościoła w tych czasach, z ducha chrystjanizmu i z ducha czasu. Takie jest znaczenie Zakładów dziegielowskich. W dzisiejszych warunkach społecznych kościoł, zwłaszcza ewangelicki, świadczyć będzie o sobie przedewszystkiem przez takie czyny.

Trudność polega jednak na tem, że jeżeli zbory mają być wychowane do czynów społecznego miłosierdzia, to urządzenia takie muszą już istnieć jako pogładowa nauka. Lud ubogi nie przejmie się wyższemi ideami, jeżeli nie zobaczy ich praktycznie przedstawionych. Zaś dla zaistnienia takich instytucyj często niema **innej podstawy na początku, jak nędza**, która je wywołuje. Stąd początkowy rozwój takich dzieł jest zwykle nietylko niesłychanie trudny, ale nawet zagadkowy, niepojęty, dziwny, wywodzący się z niezwykłych poświęceń i ofiar i sił. Ileż to razy mówiono o Zakładach dziegielowskich — jak mawiano o wszystkich podobnych — że niewiadomo, z czego rosną, że są z niczego, — i ileż to dziwacznych domysłów i plotek i przypuszczeń o nich krąży. — Ale sam Bóg tak stworzył świat: z niczego,

z otchłani próżnej i bez kształtu! I poco? Aby w tym świecie i tym światem człowieka wychować na człowieka. — Świat, aby o Bogu świadczyć i człowieka wychować, musiał naprzód zaistnieć i rozwinąć się. Potem dopiero człowiek stanął u tego warsztatu i wychowywał się, sprawując ten świat, który zaistniał z niczego. — Takim jest właściwie początek każdego wielkiego dzieła, mającego stanowić nowe okresy jakichś kompleksów. — Zakłady dziegielowskie rzeczywiście w każdym calu, w każdej godzinie swojej dźwigały się z głębokiej ludzkiej nędzy, dźwigały się i dźwigają dziś jeszcze z samych głębokich błot i z twardych kamieni — wśród zaciętego oporu i dziwacznych przeciwieństw, jakie im stawiali ludzie wokoło i fizyczna i wychowawcza praca w samych Zakładach. — I pewnie potrwa to jeszcze, aż ci, którzy mają być ich protektorami, piastunami i właścicielami, staną przy nich w pełnem poczuciu odpowiedzialności i w pełnej, poważnej radości.

Obecnie ciągle jeszcze podstawa materialna utrzymania tych dzieł w rozmiarach właściwych, dostatecznych jest bardzo szczupła. Współpracowników w tych Zakładach z natury rzeczy było dotąd mało, jako że ogół zajął stanowisko wyczekujące i woli niedowierzać, nawet puszczać w obieg hasła ostrzegawcze i krzywdzące, niż współpracować. Założyciel wielką część wysiłków swych obracać ciągle jeszcze musi na zbieranie pieniędzy, na zebranie, wyszukiwanie doraźnych źródeł wobec braku jednostek, które byłyby w możności i któreby chciały przyczynić się wielkimi ofiarami.

W pierwszych latach ofiarodawcy rekrutowali się przeważnie z tego koła ludzi, którzy związani byli z ks. Kuliszem jedną myślą z dawniejszych lat jego duszpasterstwa, gdy był jeszcze pastorem w Ligołce Kamestralnej, która dziś jest za granicą, w Czechosłowacji. Tam ks. Kulisz powołał do życia „Betezdę“ t. j. dom opieki

nad schorzałymi, opuszczonymi i starcami. Tam też z pobudki ks. Kulisza z funduszów Wszechświatowego Chrześcijańskiego Związku Studentów t. j. ich dobrodziejów, zakupiono położoną romantycznie w lesie, okazałą willę dla studentów tego ruchu na obszarze monarchji habsburskiej, około której to willi rozgorzało życie religijne, międzynarodowe — zwłaszcza w okresach wakacyj. W owych latach przedwojennych w zborze ligockim zakwitło bardzo ożywione życie religijne i kościelne. Stamtąd pochodzą też najznacześniejsze dary, które po przełomie wojny światowej poparły powstającą nową instytucję w Dzięgielowie. Znaleźli się ludzie, którzy nie zawahali się wszystko ofiarować, co w latach wojny zaoszczędzili. Od ofiarodawcy „z czeskiej strony“ pochodzi n. p. większa część cegły, z której powstały domy na „Kępie“. Jeden z tamtejszych rolników, człowiek niezamożny, ofiarował na cele dzięgielowskie poprostu wszystko, co w długich latach zaoszczędził. Ale to tylko wyjątki. Sporo zebrano przy sposobności różnych składek doraźnych, czy też ujętych w formę dobrowolnego miesięcznego opodatkowania się. Zasiłki rządowe są nadzwyczajną pomocą dlatego, że są regularne i stanowią blisko 15% wpływów. Często musiano się uciekać do pożyczek zwrotnych, krótkoterminowych i wysoko oprocentowanych i to jest największą bolączką Zakładów. Dług w bankach wynosi okrągło 20.000 dolarów. Takiej sumy założyciel otrzymać nie może z bliższego swojego otoczenia. Tyle zresztą jest bieżących wydatków, pochłaniających każdą otrzymaną kwotę, że — jak dotąd — o pozbyciu się gniotącego zadłużenia w żaden sposób myśleć nie można, a jednak pozbycie się tego balastu jest koniecznością, aby móc instytucję lepiej zorganizować.

A organizacja coraz szersza jest naglącą potrzebą: Placówka cieszyńska ma do spełnienia zadanie nietylko

w swoim łonie, u siebie. Jest w południowo-zachodniej Polsce więcej niż dwa razy więcej ewangelików-Polaków, dla których Cieszyńskie może i powinno być ogniskiem życia ewangelickiego polskiego. Dla rozproszonych w południowo-zachodniej Polsce ewangelików jakiś ośrodek opiekuńczo-wychowawczy jest koniecznością. Cieszyńskie z swoją historją — jako serce ewangelicyzmu wszystkich krajów sąsiednich — i z swojemi obecnemi instytucjami wychowawczemi i opiekuńczemi jest takim naturalnym i historycznym ośrodkiem. Ono może zachować ewangelicyzm na właściwej drodze biblijnej, t. j. w patryjotycznym stosunku do narodu i państwa i w spełnianiu misyjnych zadań biblijnych.

Zadanie to jest jednak zbyt wielkie na siły niezamożnego ludu ewangelickiego. Zakłady dziegielowskie przedstawiają największą miarę wysiłku. W Polsce potrzeby na każdym odcinku życia są olbrzymie. Książd Kulisz szukał pomocy nawet w Ameryce, gdzie ma pewne stosunki i dokąd wyjechał w r. 1928. Pomoc, jaką tam uzyskał w wysokości 12.250 dolarów, umożliwiła przebrnięcie przez ówczesne kłopoty. Dalsza pomoc od tamtejszych znajomych jest uwarunkowana wynikiem wysiłków na miejscu.

Konieczny jest więc wielki wysiłek dalszy. Nie może być mowy o tem, żeby organizacja i rozbudowa Zakładów miała zatrzymać się na obecnym stanie rozwoju. — Ciągłe wpływają na ręce ks. Kulisza prośby o przyjęcie opuszczonych dzieci i sierot, w najwyższym stopniu potrzebujących pomocy. Pukanie o przyjęcie starców i schorzałych ludzi bezdomnych jest nieustanne. Wielokrotnie przez szereg tygodni, nawet miesięcy przychodzą ci sami ludzie z zapytaniem, kiedy będą mogli być przyjęci, choć wiedzą, że pomieszczenie ich w wielkiem przepełnieniu nie będzie przyjemne, a zaopatrzenie ich jest ubogie. — Niema tygodnia, żeby do biura

ks. Kulisza przy kościele ewang. w Cieszynie nie przyszło kilku „bezrobotnych“, proszących o jakie zatrudnienie. Z całej szerokiej Polski przychodzą na kresy południowo-zachodnie, jako posiadające najwięcej kopalń i fabryk, ludzie poszukujący pracy, a nie mogąc jej otrzymać, znajdują drogę do kolonji robót wychowawczych Zakładów dziegielowskich. Są to po największej części indywidua, niezmiernie trudne do prowadzenia. Ks. Kulisz — nie wiedząc, skąd wziąć pieniędzy na ich opłacenie i wyżywienie, jednak przyjmuje ich choć na krótki okres czasu, bo mawia, że na wszystko można patrzeć, ale nie do zniesienia jest widok młodych i starszych ludzi, którzy włóczą się po kraju, żebrząc o pracę, psują się coraz bardziej tem włóczęgowaniem i nie wiedzą, dokąd i do czego popchnie ich dzień jutrzejszy. — Pracy znalazłoby się w Zakładach dużo przy uprawie pól, ogrodów, przy budowie i naprawie dróg i przy różnych instalacjach, gdyby można na to zdobyć środki pieniężne.

Drogi do Zakładów i wielkie podwórze obejmują kilkadziesiąt tysięcy m² i były dotąd zawsze jeszcze w stanie opłakanym. Podczas suszy można znieść błota, ale podczas deszczów wszystko grzęźnie w mokradłach powyżej kostek. W tych warunkach niszczy się prędko obuwie, zwłaszcza u dzieci. Wtedy cała gromada dzieci całemi dniami i tygodniami skazana jest na pobyt w pokojach niepomniernie przepelnionych. Dostęp dla odwiedzających — a takich jest z każdym rokiem więcej — jest wtedy prawie niemożliwym. Kiedyś pewien elegancki pan z Warszawy z małżonką, chcący zwiedzić Zakłady, zmykał jak najszybciej, nie widząc, gdzieby w tych błotach postawić swą wykwinłą nogę.

Aż dotąd, to jest aż do końca roku 1930, nie zdołano skończyć brukowania podwórza i dróg wokoło budynków i do budynków i odprowadzenia wody. Wiadomo,

ile takie roboty kosztują. Ale pięknie, cudnie będzie na „Kępie“, gdy znikną te trudności.

Dom dziecka.

Skoro Dom dziecka w obecnych jego rozmiarach i w obecnym wyglądzie był wykończony, to jest w roku 1928, zaczęto odpowiednio organizować wychowanie działwy zakładowej. Ci, którzy mieli z takimi sprawami do czynienia, którzy w Zakładach wychowywali gromady dzieci niewiadomego pochodzenia, z różnych stron i najrozmaitszych warunków i — mimo młodociany wiek — najrozmaitszej, wymownej przeszłości, — natury często narowiste, nawet dzikie, — w wieku od pierwszych tygodni życia do czasu pozaszkolnego, — ci wiedzą, przed jakimi zadaniami stoi codziennie kierownik Zakładu. Nasz Dom Dziecka dzieli się naturalnym sposobem na trzy działy: Żłóbek z niemowlętami, dział dzieci w wieku przedszkolnym i dział wieku szkolnego. W ostatnich latach w każdym z tych działów było ponad 30 tych istot, — niezmiernie nędznych i niezmiernie zajmujących, — w dziale dzieci szkolnych w ostatnim roku jest pięćdziesiąt troję. Dwa lata istnienia nowego Domu Dziecka już wykazały, że dom ten w sam raz byłby wystarczający dla przedszkola tylko i dla panien, chcących uczyć się pielęgnacji i wychowania dzieci, zaś niemowlęta powinny mieć osobny pawilonik. Osobny pawilon powinny mieć przedewszystkiem dzieci w wieku szkolnym, dla których zostały się w nowym domu załedwie trzy niewielkie salki, tak, że nie można w właściwy sposób rozmieścić stołów i łózek, w których śpią po trzej i niema odpowiedniego miejsca na naukę, zabawę i robotki. Dlatego trzeba śpiesznie budować dwa nowe pawilony: dla niemowląt i pawilon dla dzieci naj-



Nasi mieszkańcy.

starszych. Przy tem, jak już nadmieniono, pamiętać trzeba o pomieszczeniu panienek, zgłaszających się do nas do praktyki w pielęgnowaniu i wychowaniu dzieci. Niewątpliwie powinna istnieć taka szkoła praktyczna przy zakładzie jak nasz, i w takim kraju, jak nasz.

Obok organizacji Domu Dziecka i wychowania dzieci jako największe zadanie stoi przed instytucją zagadnienie wychowania kandydatek na Siostry.

Diakonat.

Walnem narzędziem działań nietylko instytucji dziegielowskiej, ale i misji wewnętrznej poza Zakładami dziegielowskimi stał się Polski Diakonat Ewangelicki, to jest zespół Sióstr diakonis, wykonujących społeczną służbę samarytanizmu i wychowania opiekuńczego w kraju. Liczy to zrzeszenie obecnie — po 9 latach istnienia — 38 Sióstr. Działanie ich — to służba chrześcijańska, pełniona bez względu na środki materialne, mocą poświęcenia, — jak to określił w jednej z swoich odezw twórca tego diakonatu, ks. Kulisz. Pisze on: „Jest to w dzisiejszym świecie rzeczywiście dziwny objaw, jak proste dziewczęta i niewiasty, nie posiadające jeszcze doskonałego wykształcenia ani żadnej tradycji, nie pobierające innej zapłaty prócz skromnego utrzymania i odzieży, którym w dodatku ich instytucja nie mogła dotąd wystawić jeszcze własnego domu macierzystego, gdzieby mogły się wychowywać, skupiać i w razie niezdolności do pracy głowę złożyć — a tylko przez to, że kierowane są ku wypełnieniu myśli Chrystusowej i Jego rozkazu, — że kobiety te w tak krótkim czasie urosły w tak pokaźną liczbę i uśmierzyły tyle nędzy ludzkiej i poratowały tyle istot. — Któż one są?

Dlaczego nie są żonami, urzędniczkami, albo nie służą na stanowiskach, które mogą im dać lepszą zapłatę

i więcej swobody w używaniu życia? Są to — odpowiada ks. Kulisz — w części istoty, które doznały jakichś ciężkich ciosów, które złamały im życie, a które jednak pod działaniem Ducha Bożego ruinę swojego życia chcą tak odbudować, aby mogły być narzędziem ratowania innych, którym życie albo grozi ruiną, albo ruinę już przyniosło. — Są to dalej w wielkiej części młodziutki jeszcze dziewczęta, których serca w prostocie zatęskniły za wysokim ideałem życiowym i uznały, że „być Siostrą“ nędzników — to może wypełnić im duszę i życie. W siedmiu wypadkach na dziesięć ich matki, przeżywając w rodzinach cały nagi realizm życia, ostro sprzeciwiają się takiemu marzeniu córki i robią wszystko, aby odwieść córkę od tej drogi. Zrobią te matki wszystko, aby tylko córce móc wyprawić wesele, a nie musieć widzieć córki w skromnym stroju Siostry-diakonisy. Zbyt odległy od hucznych i butnych dróg tego świata jest ten cichy trud Siostry-diakonisy, aby mógł być uznanym przez trzeźwe, ambitne, dumne matki. Jednak zdarzają się i takie wypadki, że matka sama z rezygnacją, a nieraz nawet i z ochotą przyprowadza córkę do diakonatu, — a w rozmowie z pastorem wymknie się jej nieraz niebacznie słowo, że było niegdyś i jej ideałem za czasów dziewczęcych „być Siostrą“, ale potem...

„Nikt nie wie, ile trzeba delikatności w duszpastersztwie, ile ojcowskiej miłości i cierpliwości, aby młoda taką kandydatkę, wstępującą z zapalem i idealizmem w pracę Siostry: powszednią, ciężką, twardą, w której niema czasu na pieszczenie się z sobą, — przytrzymać i przyzwyczaić do schodzenia w cały nieubłagany realizm życia, jego brudy, które trzeba dzień w dzień czyścić, jego sprzeczwy, które w każdej godzinie trzeba pokonywać.“

„Cóż to jest za zadanie przeogromne, przedziwne, precudne i przeciężkie: wprowadzać te kandydatki w

taką służbę Chrystusową; z wyżyn ich marzeń wdół, w twarde i szorstki realizm życiowego znoju i przykrości, — i wśród tych przeciwieństw i rozczarowań czuć, aby im nie zgasło cudne światło idealizmu.“

Myślą przewodnią naszego diakonatu jest to: Poznać wielkość życia, jego radość i światłość i wsłuchać się w jego pełne, to triumfalne, to zgrzytliwe akordy. Ale użyć tego życia — nie dla siebie, a właśnie dla tych, których życie jest do gruntu wzruszone, ba! skażone. Z pierwszego artykułu wyznania wiary chrześcijańskiej, to jest z Bożego daru życia przejść do drugiego artykułu, to jest do ofiary tego życia, o której doskonałości mówi właśnie drugi artykuł wiary, — aby na tej drodze znaleźć koronę życia, to jest żywot doskonały, wieczny, który jest obietnicą trzeciego artykułu wiary chrześcijańskiej.“

„Wiarę tę przeżyć jako energję i stanowczość niecofania się przed żadną trudnością, — do tego prowadzi, zmusza nas praca na naszym skromnym odcinku dziegielowskim.“

„Z tego źródła pochodzi nasza cierpliwość w znoszeniu niedostatku i ciężkiej pracy, która u nas trwa do 18 godzin na dobę. Stąd nasza pobłażliwość dla ciemnej, nieraz rozszalałej, uzasadnionej i nieuzasadnionej krytyki ludzkiej, która nas cofnąć nie śmie, tak jak cierń nie może zawadzić śpieszącemu się. — Stąd nasza nieustępliwość przed zaporami, jakie wobec małego zasobu naszych środków co chwila napotykamy w postaci braku pieniędzy. Mało ludzi wie, co znaczy służyć bogatemu Bogu, gdy każe budować, a pieniędzy nie położy na stół, ale każe ich szukać tam, gdzie najtrudniej je zdobyć. Nikt nie wie, co znaczy pożyczać, gdy nie można zobowiązać Boga, aby On Sam zwrócił — i chyba ci, co muszą odkopywać ciągle nanowo zawalające się ganki, wiedzą, co znaczy korzystać z po-

życzek, aby pożyczki pokryć. — Niech nas sądzi, kto lepiej sprawę zna, my przez ganki przedostać się musimy. Bóg pomaga tyle, że nieraz nagle otwiera wyjście, gdzie już żadnego nie można było spodziewać się wyjścia.“

„Trudno wśród tej pracy, jaka rozrosła się nam pod rękami w tych czasach powojennych, odsyłać precz nędzarzy bez strzechy, bez pracy, bez wychowania, z wytłumaczeniem, że Pan Bóg nie chce dać pieniędzy na rozszerzenie strzechy, aby i dla nich było gdzie ustawić łożę.“

„Nasze szczególniejsze trudności zarówno, jak i szczególniejsze zadania powstają z tych szczególnych przełomowych czasów powojennych, a zwłaszcza tu w Polsce, gdzie zmagają się z sobą najpiękniejsze nadzieje z skrajnym pesymizmem, najszersze horyzonty z najsilniejszymi zaporami, najjaśniejsze promienie z najdusznijszymi cieniami, sąsiadują z sobą najczystsze myśli chrześcijańskie z najbezbożniejszymi żywiołami. Cóż więc dziwnego, że nasza droga idzie złą i dobrą sławą i jesteśmy często jak umierający, a jednak żyjemy.“

„Trudno nie podjąć ciężarów, które pod nogi nam się walą. Trudno je przeskakiwać, aby nie musieć dźwigać.“

„Nie mamy jeszcze niczego, co mogłoby dać pewność, że sprostamy zadaniu, które przed nami wyrasta. Ale mamy pracę tak wielką i tak piękną, tak Bożą, że od niej ręce mdleją, ale serca rosną. — Nie mamy jeszcze domu macierzystego dla diakonis, który w naszych warunkach będzie kosztował do 50 tysięcy dolarów, a który powinien być podstawą całej naszej działalności. Ale trudno nań czekać, gdy mamy pracę dla setek rąk!“

„Jednak ten diakonat jest już dziś oazą w pustyni. Pustynią są przeciwieństwa wokół nas, pustynią nawet ten szmat ziemi, który używamy; pustynią jest nastrój dzisiejszego świata z jego bezrobociem, z jego naprężeniami społecznymi i narodowymi i z jego strasliwymi klęskami i groźbami, wynikającymi z wybujałego egoizmu osobistego, partyjnego, wyznaniowego i narodowego. Oazą jest nasza praca dla drugich, nasze solidaryzowanie się z każdym porzuconym i opuszczonym, nasz wysiłek wielki, aby nasz lud polsko-ewangelicki wychować do ofiarnej służby Bożej i Ojczyzny bez względu na partje albo wyznanie i inne różnice.“

Temi słowami przedstawia ks. Kulisz sytuację instytucji dziegielowskiej.

Jeszcze jedno słowo, wyjęte z jednego sprawozdania Zakładów:

„Prośby o przydział Sióstr nadchodzą do nas często. Według nich moglibyśmy pełnić w Polsce rzeczywiście rozległą samarytańską, piękną, choć cichą i skrytą służbę. Będzie naprawdę szkoda, jeżeli jej nie wykonamy. Tylko filantropi, ludzie pragnący ulgę nieść ludziom, mogą zrozumieć nasze zmartwienie, gdy nie możemy sprostać pięknym zadaniom, otwierającym się przed nami. Trzeba nam nietylko większej liczby Sióstr, ale i Sióstr odpowiednio uzdolnionych i wykształconych. Nasze Siostry są to przeważnie proste niewiasty, które potrzebują dłuższego, dokładnego kształcenia i to w różnych kierunkach, w kilku specjalnościach sanitarnych i wychowawczych. Tymczasem jesteśmy młodą organizacją z tradycją zaledwo 8-letnią. Czy możemy ściągnąć dostateczną liczbę kandydatek i czy mamy możliwość wychowania ich, jeżeli nie mamy dotąd Domu macierzystego Diakonu? W tych warunkach zmuszeni jesteśmy nierzadko wysłać na bardzo odpowiedzialne stanowiska pracownice zupełnie niedostatecznie

przygotowane. Sami dobrze wiemy, co nam z powodu tego zarzucić można i co nam istotnie zarzucają. Ale ktoby był w naszym położeniu, wobec wielkich, niecierpiących zwłoki zadań, ten może mniej miałby dla nas krytyki, a więcej zdecydowanej pomocy.“

Trudne położenie instytucji dziegielowskiej staje się zrozumiałe z innego jeszcze punktu widzenia: Instytucja wyrasta z łona ludu polsko-ewangelickiego. Jak już wyżej nadmieniono — rezerwoar to niewielki, ale zadanie, jakie ten lud miałby do spełnienia na południowo-zachodnich kresach Polski, jest wręcz olbrzymie i niepospolite. Nie powinno ulegać wątpliwości dla nikogo, że nie jest szkodą danego społeczeństwa, gdy jest wyznaniowo mieszane, ale zróżniczkowanie wyznaniowe jest jego zdrowiem. Dobru ludu polskiego na Śląsku cieszyńskim nie zawadziło to, że w jednej trzeciej części był ewangelickim, ani to jego rozbudzenia narodowego nie opóźniło, ani siły unarodowienia i rozwoju ekonomicznego nie osłabiło. Przeciwnie — gdzie tylko duchowi wodzowie tego ludu nie ulegali ze względów zewnętrznych obcym wpływom, gdzie wiernymi pozostawali samym sobie, tam współzawodnictwo wyznaniowe było zawsze zbawiennem. Lud ewangelicki na Śląsku nie jest kolonistą, ale od zarania dziejów dziedziecem tej ziemi, a od wielkich dni reformacji zwolennikiem zdrowych, zbawiennych biblijnych zasad; Kościół jego jest prawdziwie Kościołem chrześcijańskim, tak że wpływ tego ludu na stosunki krajowe i państwowe może być tylko pożądanym. Kto dobrze życzy Polsce, kto pragnie, aby Polska była z ducha chrześcijańską, taką, jakim był duch wieszczów narodu, ten nie może źle życzyć Polakom-ewangelikom. Współzawodnictwo wyznaniowe chrześcijańskie jest ważne w państwie, sąsiadującym z bolszewikami i Niemcami. Polacy-ewangelicy mają w Polsce swoją misję. — A jednak właśnie dlatego ska-

zani są sami na siebie. Z natury rzeczy nie znajdą oni materjalnego poparcia ani u Niemców-współwyznawców, ani u rodaków-katolików. — Stąd trudność instytucji dziegielowskiej. Szukać trzeba poparcia w świecie ewangelickim dalszym, w Danji, Szwajcarji, Ameryce. — Ileż czasu i wysiłku wymaga propaganda sprawy stosunkowo tak drobnej na szerokiej arenie dzisiejszego świata, który wcale nie jest nastawiony na takie sprawy!

Krótki pogląd na przebieg rozwoju Zakładów.

(Z notatki Ks. Senjora Kulisza.)

Rok 1920.

Przejęliśmy od Państwowego Zarządu Komory cieszyńskiej 43 ha ziemi, — w części pastwiska, w części potoki, zarosła, mokradła, w części rolę. Z tem starą, zgniłą od wilgoci chatę owczarza, starą, wąską, niską, długą, podobną do tunelu oborę owiec, stodołę i szopę na siano, to jest przeszło 40 m długi dach na kamiennych słupach. Dzierżawne wynosiło rocznie od 160 do 214 dolarów. Na tym „majątku“ nie było żadnego sprzętu rolnego, nie było nawet żłobów, ani nawet kawałka łańcucha. Nie mieliśmy ani jednego sprzętu domowego, nawet łyżek. Siostra, która miała prowadzić gospodarstwo, musiała przez kilka miesięcy nocować w Cieszynie, oddalonym o godzinę drogi i przynosić z sobą łyżkę, garnuszek i pokarm. Nie było na gospodarstwie naturalnie ani krowy, ani konia, ani jednej kury. Nie mieliśmy ziarneczka nasienia — a było to w czasie zasiewów — i nie mieliśmy ani grosza gotówki. Na gospodarstwie było tylko 5 ludzi: owczarz z żoną i córką, jedna staruszka i staruszek, którzy tu w pracy strawili życie.

Kupiliśmy 60 owiec do wypasania nieużytków. Część roli pomogli nam uprawić niektórzy usłudźni go-

spodarze z okolicy. W kilka tygodni później kupiliśmy parę koni za pieniądze naprędce wypożyczone nam przez przyjaciela, wóz i pług. Nabyliśmy także dwie krowy, z których jedna była pożyczona i 3 świnki i kilka kur. Umieściliśmy ten żywy inwentarz w owczarni, którą ochędożyliśmy, jak było można, a jedną część odgradziliśmy murem, aby za nim pomieścić dwoje niemowląt, pierwszych, jakie zdecydowaliśmy się przyjąć, razem z 3 starcami. W tym samym jeszcze roku liczba dzieci podniosła się do pięciu i przybyły jeszcze dwie niedołęzne kobiety.

Pod szopą zbiliśmy z desek trzy baraki do pomieszczenia personelu robotniczego.

Pod sam koniec roku kupiliśmy jeszcze jedną krowę i dalsze najpotrzebniejsze sprzęty rolne.

Wydatki pokryliśmy z pieniędzy, otrzymanych od generalnego superintendenta Ks. J. Burschego w Warszawie w wysokości 300 dolarów, które pochodziły z darowizny przemysłowca pana Gerlacha w Warszawie i z pieniędzy Kościoła w Danji na wsparcie Kościoła lutereckiego w Polsce.

Rok 1921.

Przez zimę i wiosnę uprawialiśmy rolę już własną parą koni. Zaczęliśmy porządkować podwórze, które obejmuje przeszło 10.000 m², — a było straszliwie zaniedbane: Pełno porzuconych kamieni, połamanych płotów i t. d. Przedstawiało ono teren zupełnie nierówny z wysokim garbem w środku. Uporządkowano je i zryto głęboko i przez tak zwane zrygolowanie zamieniono w ogród warzywny. Na podwórzu studnie musiały być oczyszczone i odnowione.

Zaczęliśmy przyjmować do pracy młodzieńców bez zajęcia i ludzi bez strzechy i chleba, dla których przecież wzięliśmy tę ziemię w dzierżawę. Latem było

z nimi łatwiej, bo mogli spać w szopie, ale zimą było ich trzeba wszystkich ścisnąć w domku, gdzie mieszkał owczarz.

Pomieszczenie dzieci i starców w owczarni okazało się z powodu mnóstwa much niemożliwem. W drugim roku było już 21 małych dzieci i przeszło 10 starców. Nie mogliśmy budować dla nich osobnego nowego domu z powodu braku wszelkich środków. Zaczęliśmy więc pod strzechą szopy budować pokoje. Tak powstał pokój dla dzieci, kuchnia, gabinecik dla Siostry, jadalnia dla robotników i drugi pokój dla większych dzieci. Liczba naszych krów wzrosła do 9-ciu, koni do 4, świń do 10-ciu. Te ostatnie umieszczono także w owczarni w osobnym przedziale.

Wydatki w tym roku wynosiły 1.330 dolarów. Dług z końcem roku wynosił 400 dolarów.

Rok 1922.

W tym roku zdecydowałem się stworzyć własną organizację Sióstr Diakonis. Dawniej wysyłałem kandydatki do innych zakładów. Nie miałem jednak stamtąd dostatecznej pomocy, gdy sam ich potrzebowałem. Gdy praca dla Sióstr w Zakładzie w Dziegielowie i w Cieszynie gwałtownie się rozrastała, zdecydowałem się sam wychowywać potrzebne mi do pomocy siły. Liczba kandydatek w tym roku wynosiła już 6. Dla nich potrzeba było pomieszczenia. Zaczęliśmy więc pod strzechą szopy, a nad izbami ledwieco zbudowanymi urządzać z desek małe komórki dla pomieszczenia łóżek tych kandydatek. Mieszkać tam nie było można, ale można było spać. Ponieważ liczba dzieci wzrosła w tym roku do 30, budowano w dalszym ciągu pod szopą pokoje. Pod temi pokojami urządziliśmy piwnice, a nad pokojami, tuż obok komórek Sióstr, prowizoryczny śpichlerz.

Owczarnia okazała się zupełnie niezdatną na pomieszczenie krów i było ją trzeba choćby tylko pro-wizorycznie dostosować. Przy tej sposobności rozbudo-waliśmy jeden koniec owczarni o kilka izb dla na-szych starców.

Wydatki w tym roku wynosiły 4.820 dolarów; dług nasz wzrósł do 2.000 dolarów.

Wielki kłopot i żal mieliśmy w tym roku z powodu darów pieniężnych z Ameryki. Dolary, jakie stamtąd wysyłali nam znajomi, mogliśmy otrzymać tylko przez Kasę Państwową i to w markach. Inflacja marki spo-wodowała, że nim dary amerykańskie doszły do nas, traciły w markach prawie zupełnie wartość.

Ciężko dotknęła nas zima w tym roku. Okazało się, że stary dach naszej szopy, pod którym budowaliśmy pokoje, przemakał. Do tego zwała burza komin nad tym dachem i było sobie trzeba uświadomić, że w na-stępnej zimie nie będzie już można mieszkać pod tą samą strzechą.

W tym ciężkim roku powstała nazwa Zakładu Ebenezer, t. j. „Bóg pomógł, Bóg jeszcze pomoże“.

Lata 1923, 1924, 1925.

Dotąd robiliśmy wszystko bez planu. Przy zupeł-nym braku środków nie mogłem wiedzieć, jak sprawa w dalszym ciągu będzie się rozwijała. Teraz wobec wzrastającej liczby uciekających się do nas ludzi i wo-bec niemożliwości pozostania dalszego pod starą strzechą szopy, musiałem się zdecydować na zupełne rozbudo-wanie domu dziecka i domu dla dorosłych. W gospo-darstwie wzrosła liczba bydła, koni i nierogacizny. Nabycie potrzebnych sprzętów i maszyn rolnych wy-magało więcej zabudowań gospodarskich.

Wzrastająca liczba kandydatek na Siostry i coraz większa praca, jaka się przed niemi otwierała, kazały

już teraz myśleć o budowie własnego Domu macierzystego dla Sióstr.

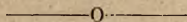
Trzy poprzednie lata nagromadziły tyle biedy ludzkiej na „Kępie“, wzniosły nad nią tyle prowizorycznych budowli, że w czwartym roku nadszedł czas ujęcia tych fragmentów w jakąś jednolitą już całość. Zadania te były niezmiernie trudne wobec braku pieniędzy. Trzeba więc było budować tak, aby zużytkować wszystko dotychczas wystawione i aby sama praca budowania nie pozbawiła ludzi pomieszczenia. Buduje się więc w domu dzieci nowa fasada długości 40 m, buduje się piętro nad istniejącymi już prowizorycznymi parterowymi pokojami. Równocześnie ani na chwilę nie przerywa się dotychczasowego trybu życia w istniejących już izbach, gdyż nie było miejsca, by dotychczasowych mieszkańców przenieść na czas budowy gdzieindziej.

Z ilu to i jakimi było połączone kłopotami i niedogodnościami tak budujących, jak i stałych mieszkańców, któż to wypowie? Dość powiedzieć, że po dwóch latach stanął nad starymi pomieszczeniami nowy dom kosztem 26 tys. dol. Prócz tego wybudowano wielki drewniany pawilon długości 30 m szerokości 12 m w formie wielkiej altany, gdzie dzieci w czasie niepogody mogą hasać swobodnie. Tam odbywają się również święta ludowe Zakładów, tam umieszcza się latem liczne kolonje wakacyjne dzieci ubogich z zagłębia przemysłowego. Pawilon ten kosztował 900 dolarów. Równocześnie wybudowano piętro na dom starców i kalek, goszczący w swych murach zgórą 70 biedaków. Budowa ta pochłonęła 15 tysięcy dolarów. Starą owczarnię, dostosowywaną stopniowo do potrzeb i wzrostu liczby krów, w tym roku rozbudowano w zupełności w obszerną oborę, nad którą pomieszczono znacznym kosztem wielkie śpichrze. Do tej obory dostawiono dużą stajnię nierogacizny. Przebudowa ta kosztowała

11 tysięcy dolarów. Zbudowano nadto drugą stodołę i wielką wozownię, które pochłonęły dalsze 5 tysięcy dolarów.

Wliczając w to założenie dużego sadu, sprowadzenie mebli do nowych budynków, dalszych maszyn rolniczych do gospodarstwa, utrzymanie całego Zakładu — wydatki wynosiły w latach 1925—1926 zgórą 75 tysięcy dolarów, a dług podniósł się do 26.100 dolarów.

Dwa następne lata, a mianowicie 1927 i 1928 wypełnione były dalszą organizacją Zakładów, urządzeniem budynków i t. p., jak budową wodociągu, wprowadzeniem światła elektrycznego, uporządkowaniem dróg, a przede wszystkim dalszą organizacją diakonatu, który obejmował już przeszło 30 Sióstr i staraniem nad wychowaniem setki przeszło dzieci, przyjętych w opiekę.



„Kępa“ zmieniła się w tym czasie niemal nie do poznania. Rozwaliska ustąpiły miejsca solidnym gmachom. Pola dawniej zaniedbane poczęły przynosić po zdrenowaniu plony obfite. Drenarka jest rzeczą niezmiernie drogą, ale rząd daje znaczne subwencje. Obora wypełniła się 30 krowami. Wieczorem zaś jaśniej na górze lampy elektryczne, do których sprowadzono prąd osobnym przewodem z centrali cieszyńskiej koszt 2.000 dol. — Tyle Ks. Kulisz.

Łatwo wymienić te spore cyfry, ile jednak zabiegów kosztowało zebranie tych sum, o tem może mieć pojęcie tylko ten, kto patrzy na te prace zbliższy. Zakłady te jednak mają to do siebie, że porywają swoim mocnym rozwojem. Ksiądz senjor Kulisz nie lubi opowiadać o tych przejściach; dla siebie też przeważnie zachowuje cudowne nieraz „zbiegi okoliczności“, niespodziewane przyjście mu z pomocą w chwilach naj-

cięższych ze strony najmniej oczekiwanej i ciężkie tajemnice narastania dziwnego dzieła.

Ciężar długu bankowego stał się tak nieznośny, że w roku 1928 ksiądz senjor Karol Kulisz wyjechał do Ameryki, prawie na chybił — trafił, ażeby tam szukać pomocy. I znalazł ją częściowo; zebrał bowiem za oceanem w przeciągu dwóch miesięcy 12.250 dolarów i zapoczątkował Komitet pomocy na przyszłość. Zabiegi o szukanie źródeł dochodu, zwłaszcza też kłopoty o spłaty pożyczek opóźniły budowę Domu macierzystego Sióstr i innych koniecznych jeszcze pawilonów. Ale i w tym czasie wybudowano wodociąg, wybrukowano podwórze i powiększono inwentarz. Udoskonalała się natomiast ciągle organizacja od wewnątrz. Otworzono dla dzieci przedszkole, obejmujące trzydzieścioro dzieci najmniejszych, przyczem walczy się już znowu z brakiem miejsca. Dzieci szkolne nie mają właściwego połączenia. Dla najstarszych tworzyć się zaczyna pracownie rzemieślnicze, więc szwalnię, pracownię szewską, stolarnię i zamierzone są jeszcze inne działy, aby młodzież dorastająca kształcić się mogła w przyszłości na rzemieślników jeszcze pod opieką Zakładów. Kilkoro uczęszcza do szkół wyższych w Cieszynie.

„Szczukówka“ i Zamek.

Otóż w takim stanie są dziś Zakłady dziegielowskie. Niewątpliwie są one jedną z najcharakterystyczniejszych zdobyczy powojennych w Polsce, są klasycznym przykładem, jak odbudowują się rzeczy w nowej Polsce i są najznamienniejszym świadectwem o Polakach-ewangelikach. Stan tych Zakładów może budzić poważne wątpliwości i obawę o ich przyszłość. Ale czy istnieje dziś coś w Polsce, ba w całym świecie, co nie

napawa nas obawą o przyszłość? Dlaczegożby więc taki twór, jak Zakłady dziegielowskie, miały być inaczej traktowane! — Ks. Kulisz zdaje się nie pytać o jutro, tylko próbuje pełnić konieczność dzisiejszego dnia. Ciągłe powtarza słowo Chrystusowe: „Nie troszczcie się o dzień jutrzejszy, albowiem dzień jutrzejszy będzie się troszczył o swoje.“ Bez tej zasady Zakłady dziegielowskie nie byłyby możliwe. Na tej zasadzie rozwijały się od samego początku. Wszystko tu robiono, jak gdyby przyszłość była pewna: nawet wtedy, gdy zdało się prawdopodobnem, że Komora cieszyńska wrócić może w posiadanie Habsburgów. — i wtedy, gdy niewiadomem było, czy w parcelacji będzie ziemia Zakładom przydzielona. Nie pytano się nigdy o pewność czy niepewność, ale spełniano zadanie, jak właśnie w danym czasie się przedstawiało. Nie było ani jednego kroku naprzód, który nie byłby krokiem wiary w ciemność.

W tym samym duchu dopełniono tego, co stanowi w historii Zakładów jakoby nowy etap, co jest główną zdobyczą Zakładów ostatnich dwóch lat. W roku 1929 otrzymały Zakłady jakby nową placówkę, jakby kolonję. O kwadrans drogi od Zakładów w najpiękniejszym miejscu pięknej wioski Dziegielów jest tartak, spółkowe przedsiębiorstwo dosyć nieszczęśliwe, opuszczone, jakgdyby czekające na swój los, na właściwe przeznaczenie. Ks. Kulisz zakupił je dla Zakładów „Ebenezer“ wraz z otoczeniem, to jest parcelą, przylegającą do tartaku i wraz z obszernem domostwem, tak zwaną „Szczukówką“, położoną w dużym sadzie nad brzegiem rzeczki, płynącej przez wioskę. Obok tartaku wybudowano odrazu cegielnię dla użytku Zakładów, zremonutowano tartak i urządzono w nim obszerną stolarnię. Koszta całego tego nowego nabytku wynoszą blisko sto tysięcy złotych. Wydatek ten zrobiono w czasie naj-

trudniejszym dla Zakładów pod względem pieniężnym i w powszechnym kryzysie gospodarczym. — Oto znowu przejaw **kroczenia naprzód wpoprzek ścisłych obliczeń i przypuszczeń danej chwili, w ufności, że z najtrudniejszych sytuacji muszą wyniknąć rzeczy nowe i prawdziwie idealne, jeżeli spełniony zostanie nakaz wyższych względów.** — Względy te są w danym wypadku dwojakie: najpierw, aby piękny nabytek, o którym mowa, zachować od zaprzepaszczenia na zawsze dla celów niegodnych, — po drugie, aby dla samych Zakładów, a opodal nich, mieć pomieszczenie dla ludzi i spraw, które ściśle do opieki i wychowania samego wprowadzić nie należą, ale Zakładom służą i ideę Zakładów krzewią w odmienny nieco sposób na dalszych polach, wśród dalszych kół. — W jaki sposób tartak, stolarnia, cegielnia, sady mogą służyć rozbudowującym się Zakładom, widzi każdy odrazu: dają one nowe pole pracy i dostarczają tańszego materiału. Domostwo zaś samo rozbudowane, będzie służyło za gościnę wielu przychodniom, którzy chcą uczyć się pracy społecznej, społecznego wychowania obywatelskiego, wiary czynnej w służbie miłosierdzia.

W ten sposób „Kępa“ rośnie, wylania się dosłownie z błota, z boleści, z mąk, z chaosu, wyrasta na symbol polskiego ewangelicyzmu w odrodzonej Ojczyźnie. Organizuje się zgola samorodnie. Setki wykolejonych, podrzutków, starych i młodych, chorych i zdrowych, przechodzą przez tę dawną „owczarnię“.

Ściele się przed nią jeszcze daleki ugór. Zakłady opiekuńczo-wychowawcze dziś, zdaniem ich twórcy i ludzi, którzy koło niego się skupiają, to zaledwie poczwarka, która powinna się wypoczwarzyć w motyla.

Tu nareszcie trzeba powiedzieć kilka słów o trzeciej jeszcze możliwości rozwoju — o „Zamku“ dziegielow-

skim. Część historii jego opisał w pięknej monografii pan J. Zahradnik w Bielsku.

Zamek ten nad rzeczką „Puńcówką“ wśród wielkich lasów, sięga swemi początkami wieku conajmniej trzynastego.

W czasach najazdów tatarskich był to jeden z ośrodków obrony chrześcijaństwa i polskości. Tatarzy po bitwie lignickiej osiedli kilku koszami także na dzisiejszym Śląsku Cieszyńskim, potworzyli obozy zbrojne na wzgórzach i górach, między innymi na Tule, czy też Małej Czantorji, wznoszących swe grzbiety i szczyty nad Dziegielowem. Stamtąd to urządzali wyprawy, wycieczki przeważnie nocne przeciwko zamkowi piastowskiemu w Cieszynie. Według podań ludowych ówczesny mieszkaniec Zamku dziegielowskiego spowodował klęskę Tatarów i odparcie ich nawały z Cieszyńskiego.

W trzy wieki później stał się Zamek znowu placówką — tym razem zmagania reformacji na Śląsku. Tam to mieszkała owa legendarna „Czarna Pani“, która męża swego, ewangelika — jednego z dziedzicznych panów na Dziegielowie — w sporze religijnym psom rzuciła na pożarcie, za co po śmierci nie mogła znaleźć spokoju w ziemi, która wyrzucała ją z trumną z swego łona, aż wreszcie — za poradą jakiegoś owczarza — dwa czarne woły odwiozły ją o trzy godziny drogi do Kościelca, gdzie grób ją przyjął. Zamek zaś stał się odtąd siedzibą strachów, widm i upiórów.

Z końcem ośmnastego wieku Zamek przydzielony do majątku Komory cieszyńskiej, pozostawał odtąd pod zarządem jednego z licznych „Verwalterów“ — zarządców Komory, która w drugiej połowie dziewiętnastego i na przełomie dwudziestego wieku tak zdecydowanie na Śląsku szerzyła wpływy niemieckie. — Liczne pokoje

Zamku po pożarze, choć odbudowane, przez długie lata pozostawały puste i Zamek coraz bardziej pustoszał, aż nareszcie podczas wojny światowej zakwaterowały się w nim rodziny robotników fabrycznych w liczbie koło dwudziestu. Nikt odtąd nie dba już o remont Zamku, który chyli się ku niechybnej ruinie i lada chwila stanie się zupełną ruderą.

Nie mając dla Zamku w tym jego stanie żadnego użytku, rząd polski, obecny jego właściciel, skłoniłby się oddać go w drodze sprzedaży Zakładowi opiekuńczowychowawczym w Dzięgielowie. Ks. Kulisz przebudowałby Zamek i urządził w nim dwór dla kolonij wakacyjnych ubogiej diatwy i młodzieży z śląskiego zagłębia przemysłowego dla zażywania słońca i powietrza w letnich miesiącach. Kolonje te prowadzone byłyby w duchu wychowania obywatelskiego, byłyby czemś w rodzaju uniwersytetu ludowego. Urządzenia takie wszak dziś są krzyczącą potrzebą. Dziś bowiem państwo — to nie król lub cesarz — jak niegdyś francuski król mawiał: „państwo — to moja osoba!“, — ale dziś państwo — to jego obywatele!

Taki użytek Zamku dzięgielowskiego byłby ekspiacją jego przeszłości. Stamtąd mógłby iść prąd ożywczej, współczesnej, obywatelskiej, chrześcijańskiej myśli na zachodnio-południowe kresy Polski: Zdrowa miłość bliźniego, praca poświęcenia wszystkich dla wszystkich, szerzenie zdrowia społecznego, uprzystępnienie powietrza, światła tym, co przez długą zimę i sloty siedzą w ciasnych, dusznych koszarach mieszkaniowych!

Cnoty nie można nauczać — jak dowiódł przykład Sokratesa — tylko logicznem rozumowaniem, ani tylko w nowoczesny sposób wykładami publicznymi, ale tylko duchem miłości twórczej, wypływającej z Ewangelji, z Chrystusa.

Oto szlaki rozwojowe „Kępy“ dzięgielowskiej.
Twórca tych instytucyj jako hasło wypisał na hali Zakładów błagalne słowo:

„Chleba! Światła! Nadziei!“

KONIEC.



Dom Dziecka.